

Jerzy Binkowski

**TO NIEBA ODBLASK
PORAZIŁ CZŁOWIEKA**
- tryptyk

*Ks. Wiesławowi Meringowi
na Srebrny Jubileusz Kapłaństwa
z przyjaźnią
i wdzięczną pamięcią*

Autor



1992

Markowski Jerzy Binkowski

Rysunki Drogi Krzyżowej - Ryszard Szustak

TO NIEBA ODBLASK PORAZIŁ CZŁOWIEKA

- tryptyk

Wiersze - Jerzy Binkowski



ISBN 83-86491-60-4
88236



Wydawnictwo Bernardinum
Druk: Drukarnia Wydawnictwa Bernardinum
ul. Maracki 7, 83-130 Pelplin

1997

Fot. na okładce - Tomasz Markowski

Rysunki Drogi Krzyżowej - Ryszard Struniec

„Między niebem i ziemią” - Waldemar Smaszcz

Wiersze - Jerzy Binkowski



ISBN 83-86491-60-4

884-1
821.162.1-1

Druk: Drukarnia Wydawnictwa „Bernardinum”
Wyższego Seminarium Duchownego, pl. Mariacki 7, 83-130 Pelplin

WSTĘP

Teraz po latach potok - komediant wypływa
dziży przez wieki opowieść jak we śnie

nie powie słowa o magicznej mocy przypadków
wargami smakował będzie świeżość wysaną ze źródła

nie maż roztropny kamienie w ustach skruszy
a ciemności na płcy wpełznąć nie pozwoli

GŁOSY Z PUSTYNI

więc oczy przymruża
słopy drżące stawia

nie - izhy skorpion przyezajony czeka
to nieba odbłask poraził człowieka

WSTĘP

I teraz po latach potok – komediant wypływa
draży przez wieki opowieść jak we śnie

nie powie słowa o magicznej mocy przypadków
wargami smakował będzie świeżość wyssaną ze źródła

bo mąż roztropny kamienie w ustach skruszy
a ciemności na plecy wpełznąć nie pozwoli

więc oczy przymruża
stopy drżące stawia

nie – iżby skorpion przycajony czeka
to nieba odblask poraził człowieka

Fot. na okładce: Teresa Mielkowska

Rysunki Drogi Krzyżowej - Ryszard Siruniec

Wiersze - Andrzej Binkowski

88536

ISBN 83-86491-60-4

Wydawnictwo "Benedictinum"
Wysokie Seminarium Duchowe, pl. Mariacki 7, 83-130 Pelplin

I

Przystań uspokajała jeszcze rozdygotane burty
jeszcze jego ręce drżały
jeszcze słyszał wyslizgany zgrzyt sworznia
przy każdym ruchu wiosła
jak dręczy go i oszołamia
podczas snu w wilgotnej tunicy
na dnie okrętu

A jednak przeprowił się
na wyśniony drugi brzeg
więc dumny zachwalał towar
przechodniom w prowincji u ujścia Lebdy
choć źrenice rozwierały się zdziwione
że błyszczące w słońcu szkiełka
wyżej wyceniano na targu niż ryby

II

Woda sphywała z płaskowyżu gwałtownie
drażąc głęboko ziemię jak nóż
kiedy liczy żebra baranka

Leniwy u podnóża nurt zapraszał ptaki
zmęczone wędrówką z krain północy
tu mogły wreszcie zaspokoić głód
wydziobując oczy zbłąkanym żółwiom

Słodycz wody przyciągała i człowieka
jego porażoną na pergamin twarz żyłastą
przy podziale skamielin w bryły
na dom piekarnię szkołę cyrk teatr i przystań

Coraz skuteczniejsza obrona przed szakalami
rodziła nadzieję
i miasto rosło

III

Ukochanie od wieków
ze szczególnym upodobaniem przychodziło ciemną nocą
jego twarde dłonie
podczas dnia nużane w specjalnie nawilżonej ziemi
w poszukiwaniu
miejsca odpowiedniego na korzonki pszenicy i prosa
później oblizywane
przez spragnione a pogodnie brykające jagnięta
teraz odpoczywały
na jej delikatnie puszystych piersiach
nasączonych
tkliwie i słonecznie niby dojrzały owoc granatu
z którego wysuwała on
ziarenka ożywczym sokiem spływające
kropelka po kropelce
po jej tak przychylnym łonie
i jeszcze
trzymając razem uchwyty amfory
pełnej słodkiego wina z daktyli
oraz masy figowej z cytryną
przesuwali na przemian
do wąskiej szyjki nienasycone usta
aby spijać nektar
cudownych owoców ziemi i trudu rąk własnych

IV

Pustynia niekiedy przypomina złoto
gorącą w słońcu równie chłodną nocą
nucąc podług melodii zasłyszanej w teatrze
rzucił okiem na coraz wyżej unoszone mury świątyni
co bogini ogniska domowego skrywa
w równym oddechu ciężarnej piersi i brzucha
syna – który podejmie pług i miecz
córkę – która będzie radością jego zmierzchów
czy wędrować do wyroczni na półwyspie w Cyrenie
jak bogom oddać na powietrze ogień wodę ziemię

V

Docierając do bazaltowego brzegu cypla
fale jakby wstrzymywały swój bieg i siłę
a było to miejsce najwyższe w okolicy
więc zdawało się miejscem styku nieba i ziemi

Radosny błysk iskrzył w oczach przechodniów
gdy spoglądali na młodego mężczyznę
Heliosa ich miasta silnego smukłego i wyniosłego
jak szedł z wiązką szlachetnego drewna na plecach

Lubił podkładać drwa dolewać oliwy i soli szczyptę wrzucać
szczególnie kiedy mógł spalać szczapy cedru i cyprysu
oprócz światła tryskał wtedy zapach kobiecego wdzięku
i kamienna latarnia stawała się prawdziwym domem

Góra rozświetlająca mrok świętym płomieniem
i on – symbol czuwania troski wiary i nadziei
tych co napadani nocną obawą złych snów sprawdzali
czy światło na górze chroni ich jeszcze
przed mocami ciemności
a tym na morzu
przesyła znak wybawienia
wśród bezdroża

VI

Lekko ponad śpiew sen i oddech
unosił w dłoniach pył i popiół
jakby osłaniał ciepłą kruchą tkankę
gdzie tli się i tętni życie i śmierć

Kiedy do kresu swego zbliżała się noc
wynosił popiół ogniska i lampy oliwnej
na skraj przepastny
MARE INTERNUM

I jak ptak z sercem gorącym
złotą woalką otulone
porannym wiatrem wyrzeźbione
wstawało słońce

I trwało w nim owo budzenie do życia
słońca ptaka leniwej fali i myśli
i trwało w nim o brzasku drzenie
na twarzy igrające porannym półcieniem

Czterech niewolników niosło w zaciętej fetyce
na opuchniętych ramionach ciepca wróbitę

VII

Siedmiokróć złoty rydwan jaskrawo przegalopował nad miastem
więc gorączka oczekiwania na flotyllę sięgała zenitu
i oczy bolały od wypatrywania okrętów prokonsula
z oddziałami ekwitów i piechoty nie znużonej rdzawym piaskiem

Kiedy dotarł na forum ujrzał
uzbrojone i naoliwione przed wyprawą ciała
i centurionów jak między szeregami maszerują kohorty
przekazując wytyczne marszruty na południe – do Cydamesu

Dlaczego tak spieszo im było osaczyć
miejsce ostatniego posiłku barbarzyńców po bezdrożach
gdzie przeglądać właśnie będą i czyścić z pyłów pustyni
kość słoniową strusie pióra czarne niewolnice i złoto

Kiedy pojawiło się przekleństwo na jego wargach
wiedział że słabnie od myśli strasznych
i bulgotał mu w gardle krzywych słów okrzyk
wobec zdarzeń i ludzi z zachłanności ślepych

VIII

Słońce pracowicie przesunęło się w głąb lądu
i żar sączył się kropelkami oliwy i potu
a oni unosili coraz wyżej kolana
u progu skalnego wypiętrzenia

Krawędź poszarpana suchymi wąwozami
od strony północnej osadzona szarą zielenią
czekała na utwardzone stopy żołnierza
czarnym kamieniem i ostrym piaskowcem przez wiele mil

Jak zwykle w drodze na południe
Marcellus wyznaczył jedną centurię
do prowadzenia stada kóz owiec i baranów
które zapewniały oddziałom mięso i mleko

Serce wyprawy pulsowało wśród mężczyzn
o nogach silnych jak kolumny podtrzymujące niebo
pośród przewodników wyznaczających ślad
w tej bez szlaku i bez znaku drodze

Czterech niewolników niosło w zacienionej lektyce
na opuchniętych ramionach ślepa wróżbitę

IX

Hełm trzymał w dłoni
a głowę zasłonił ostatnią czystą szmatą

Żwir wwiercił się pod skórę podeszwy
jak owad pod powiekę

Odparzenie pod prawą pachą
jak ognisko i wrzód

Skroń pulsowała
szukając sposobu na przetrwanie

Przymknięte powieki nawet cienia nie rzucały

Zwierzęta bez pamięci szły w amoku ślepym

IX

Pochylił się nad wrogiem
jego silne ramiona
siekiereę uniosły nad głowę
aby spadła w dokładnie upatrzone miejsce

Od wieków nienawiść stanowiła żywioł mężczyzny.
który własną niepewność obmyć musiał
w wywarze gorącej jeszcze krwi

Nie zauważał głupiec
że wokół zgromadzony mrok
gęstniał jak plama u stóp omdłałych

albo przesyty został nubijską suzają
lub wyzionie ducha w szalonym zawirowaniu piachu

Niekiedy dostrzegał zarys twarzy śmierci
i jej czujną zwinność dzikiego zwierzęcia
a czasem zasypiał w objęciach nieporęcznej myśli
że będzie żył – zawsze



XI

Najciszej ze świata schodzi topielec
jak ryba niemy

Wisielec już miał krzyknąć z rozpacz
lecz głos mu uwiązł

Nie może nie wyc w bólu umierający w ogniu:
żywiół ognia wydziera z ciała

człowieka

Zwierzęta bez pamięci szły w amoku ślepym



XII

Przypomnił sobie jak będąc dzieckiem
biegał do utraty tchu po wzgórzach
mając pewność że serce i płuca
przywróca szybko równowagę doskonałą

Polubił więc swoje ciało
służące mu teraz wiernie
podczas długich rzymskich ceremonii
wyprostowane i odporne na wszelkie pokusy

Czy zginie w walce od pchnięcia dzida
a może zmiążdży go mauretański topór
albo przeszyty zostanie nubijską strzałą
lub wyzionie ducha w szalonym zawirowaniu piachu

Niekiedy dostrzegał zarys twarzy śmierci
i jej czujną zwinność dzikiego zwierzęcia
a czasem zasypiał w objęciach nedorzeczej myśli
że będzie żył – zawsze

szynkę gotowaną z figami i laurowymi liśćmi

na deser:

*daktyle z Jerychu winogrono i miód z oliwą
konfiury rżane z ciastkami
bez pestek daktyle z nadzieniem orzechowym
i nasiona sosny zasmażane w miodzie
a także słodkie wino
i ciastka afrykańskie na gorąco*

XIII

Sięgnął po puchar z winem zaprawionym żywicą
gdzie szumiały tajemne odgłosy gleby
i przysłuchiwał się uważnie strumieniom
wodospadom ciała i ziemi

Pieczeń gazeli rozpływała się w ustach
a ząbek czosnku dodawał ducha
zęby zanurzał w chlebie posypanym sezamem
w ten oczywisty sposób sycąc apetyt

Rano podda ciało klasycznym rygorom gimnastyki
precyzyjnie będzie dawkował napar z ziół i rozkosze
unikając obżarstwa i każdej zachłanności gdyż
radością męża dojrzałego jedynie jest wstrzemięźliwość

XIV

Kiedy robiło się ciemno i chłodno – tęsknił -
i słyszał jej głos jak prosi o radę
co przygotować przyjaciółom na ucztę

któż mógłby nie czuć się godnie przyjętym
gdyby podała

na przekąskę:

plastry mózdzku smażone na mleku
nadziewane świńskie wymiona
leśne grzyby w sosie korzennym z rybim tłuszczem

na główny posiłek:

pieczeń z daniela w sosie cebulowym
strusia w sosie słodkim
pieczoną turkawkę z piórami i papugę
flaminga z daktylami
szynkę gotowaną z figami i laurowymi liśćmi

na deser:

daktyle z Jerycha winogrona i miód z oliwą
konfitury różane z ciastkami
bez pestek daktyle z nadzieniem orzechowym
i nasiona sosny zasmażane w miodzie
a także słodkie wino
i ciastka afrykańskie na gorąco

Skwierczało rano ognisko
naczynia zaczerwieniły się
a dym dyskretnie dołączył do porannej mgły

Idąc kołysał się w biodrach jakby tęsknił za wodą
a piaszczyste wzgórza niczym nieskończoność
błyszczały wyszlifowane starannie tysiącami lat

Kolejny raz poznawał własnej myśli ulotność
której wieczorem nie zdążył zamienić w słowo

Wspomniał zimne światło księżyca
w czasie nocnej igraszki bogów

Drzenie ramion
iskra jak łza w oku

Miejszem wytchnienia od pustynnych lęków
linią zadumy ze szmaragdem wdzięków
szczebiotem fali zgrzytem stóp na żwirze
wilgotnym jesteś i plecy wyliziesz

brzegu morski
granico życia

XVII

Pod kopytami runęły wieki
pod kopytami piasek groby
i trakty wypełnione milczeniem

Szerokie na trzy wozy
prostolinijne dukty
szybkie jak legiony

Szlaki cesarskich zarządzeń
PAX ROMANA
w mozaice kamiennego świata

Dumnie szedł drogą
którą Rzym pozostawi w darze światu
do najdalszych krańców imperium

XVIII

Instykt nie zaprowadzi pszczoł do teatrów
brakuje tam natury pachnących kwiatów
choć jakieś słodczyce zostały na scenie
w kapitelach kolumn słycać os brzęczenie

jak szum ulicy w życiowym spektaklu

tu taniec handlarzy wiruje i trwa
tam próżniak i nierób
tu grajek wędrowny
tam tenor zaśpiewa
tu mim zatańczy

jest chleb
i miodu wystarczy

złociste i miękkie jej ciało
on falą olbrzymią okrywa

jej szyja spowita jedwabiem
on mężnie sklepienie podpięra

XIX

Kolejny raz aktor zmienia maskę
w zachwycie ogromnej widowni
zapatrzonej w sztukę przemiany twarzy

Ileż aprobaty jakież entuzjazm i jazgot
gdy starzec niedawny odmienia prawem sceny
odwieczne prawo

Wstał człowiek garb prostując
i zagrał młodzian
na talerzach miedzianych fletniach i bębnach

Pozwoliłeś zamieszkać artystom w swoim domu – panie –
jak pięknie brzmi gitara
w rezonatorach pudła ze skorupy żółwia

Dwieście tysięcy sestercji zapłaciłeś za koncert – panie –

XX

Jak wybaczyć brak odwagi bogom
życia mego nie spróbują i śmierci mojej

Jakież to dziwne
owo osamotnienie wśród przedmiotów

Jakież to szaleństwo
godzić w serca przyjaciół

Jakimż sposobem czerpać siły z medytacji
nad światła błyskiem

Zegarze starodawny – twoja królewska energia
już to ciemnieje w cieniu już to rozpieszcza światłem

jak drogie kamienie na jej piersi
a ona wyniośle tak piękna

złociste i miękkie jej ciało
on falą olbrzymią okrywa

jej szyja spowita jedwabiem
on mężnie sklepienie podpiera

XXI

Czekanie na czas
odpowiedni czas na miłość
i pracę w poszukiwaniu złota
drogich kamieni i szczęścia

Bezsilne i wątle są czyny
o których się milczy
jak puchar rozbity
z jego gorzko – słodkim smakiem

Co robić z tkaniną
porwaną spieczoną i brudną

Szaleństwo nie sprzyja prostocie myśli

Dwieście tysięcy sestercji

złociste jej ciało
on ją ołczył

jej szczerze jedwabiem
on męźnie skłębienie podpięta

XXII

Stary on jeszcze nie jest
Nie jest wystarczająco chłodny i chytry
Zapamiętuje się w zemście
Ciągłe radośnie i głęboko grzeźnie w zmysłach

Jednak gubi powoli instynkt prowadzenia stada
Schodzi na sobie tylko wiadome ścieżki
A tam próbuje jak mu z głową podniesioną wysoko
Tak wysoko że o stopach przestaje pamiętać

Jeszcze biegnie lecz zmysłów nie traci

Dogasające ognisko błyszczy
jak opadła na ziemię iskra

Głos jego potężny
toczy się po bezdrożach

Dziwny człowiek z głową lwa
laokanum

Mieszkańcy starożytnego miasta
jeszcze nie słyszeli o nim

XXIII

Wiem – że zastanawiać się będą – jak mogliśmy żyć
w takim splątaniu losów samotnej wyobraźni
architekci w krajobrazach z cieniem najbliższej ogniska
podczas zimnej wszechogarniającej i prawdziwej nocy

Nie wiem – odpowiem – gdyż żyłem pośród piasku i wiatru
wewnątrz twardych szczęk wyteżałem mięśnie i grzbiet
nikt mnie nie uczył – jak żyć – aby godnie przetrwać
w bólu rozżalonego serca i rozpacz

Co zrobić z łacią – karmić z ręki
porwaną spieczoną i brudną

Szaleństwo nie sprzyja prostocie myśli

Jeśli ktoś chce być prosty – niech się nie denerwuje

Wszystko jest możliwe – jeśli tylko chcesz

Wszystko jest możliwe – jeśli tylko chcesz

XXIV

Oczy mu płoną i ramiona wznosi
gniewne oblicze rozświetla mrok

Rzuca słowa gorące
w zakamarki zwietrzałych skał

Nad nim bezmiar błękitu
a skóra wielbłąda opasuje biodra

Jałowa równina
leży cicho jak chore zwierzę

Dogasające ognisko błyszczący
jak opadła na ziemię iskra

Głos jego potężny
toczy się po bezdrożach

Dziwny człowiek z głową lwa
Iaokanann

Mieszkańcy starożytnego miasta
jeszcze nie słyszeli o nim

Mieszkańcy starożytnego miasta
ciała wasze zamienione we wspomnienie
wystrugane przez piasek do suchych kości
na skrzyżowaniu spierzchniętych ulic

Ani jeden okrzyk nie został
ani dostojna moc chórów i senatorów
żadne westchnienie nie ocalało
każda łza okazała się nieważna

Zaniedbaliście się w umiejętności odczytywania znaków
kamienie zapomniały imię dyktatora
który słabość pokonywał przemocą
i tworzył kolejny rozdział

A skorpion – bożek starodawny –
do dziś wygrzewa się pod słońcem
czeka na jadu przyptyw
aby go cisnąć prosto w twarz przechodniom

Mieszkańcy starożytnego miasta
jeszcze nie słyszeli o nim

Saul – to imię żydowskiego zbrodniarza
psa o dziwnie skupionych oczach

Jego zachłanność wyziera z tłumy
jak piorun błyska w nawale chmur

Ślizga się po zasłyszanych słowach
dyszy na skrajach

W DRODZE Z DAMASZKU

„Przekleśte bydło” – krzyczy
zwalając się pod zwierzę

W trzydziestym szóstym roku Galilejczyka
Saul – z pokolenia Beniamina

Rodzicom z miłością

Mieszkańcy starożytnego miasta
 ciała wasze zamienione we wspomnienie
 wystugane przez piasek do suchych kości
 na skrzyżowaniu spierzchniętych ulic

Ani jeden okrzyk nie został
 ani dostojna moc chórów i senatorów
 żadne westchnienie nie ocalało

Zaniedbaliście się w umiejętności odczytywania znaków
 kamienie zapomniały imię dyktatora
 który słabość pokonywał przemocą
 i tworzył kolejny rozdział

A skorpion – bożek starodawny –
 do dziś wyrzewa się pod słońcem
 czeka na jadu przyotyły
 aby go cisnąć prosto w twarz przechodniom

Saul – to imię żydowskiego zbrodniarza
 psa o dziwnie skupionych oczach

Jego zachłanność wyziera z tłumu
 jak piorun błyska w nawale chmur

Ślizga się po zasłyszanych słowach
 dyszy na skraju miasta

„Przeklęte bydlę” – krzyczy
 zwalając się pod zwierzę

W trzydziestym szóstym roku Galilejczyka
 Saul – z pokolenia Beniamina

II

Przywarł wargami do twardej ściany
W żyłach zgrzytały kamienie
W skroniach jedynie ciemność

Wysunął się spod konia
I poszedł ślepo
Śmiertelnie błady

Oddechu starczyło na siedem kroków
Powietrze zaplątało się w płucach
I zemdłał

III

Bracia – oto Saul w drodze z Damaszku
z pamięcią zbrodni

Pan wymówił jego imię
I Pan go wybawił

W mowie jego przebywać będzie Anioł
wybierając głoski najlepsze

On będzie mówił o prawdzie
do końca świata

IV

W jego oczach trwasz – Panie
a przechodzący wskazują go palcem

Zaślepiiony
nie potrafi iść nawet ulicą Proszą

Idzie i nie wie dokąd
wplątuje stopy w szorstką tkaninę

Nie ma ziemi i nie ma nieba
tylko odprysk z żył tańca i wody

Och – Gamalielu – Gamalielu –
czytałeś mi często:

„Biada wam uczeni w piśmie”

VII

Oblicze swoje pokazałeś mi – Panie –
i dłonie położyłeś na głowie
a on zatrząsł się jak blok skalny
w tej intymności

VI

Mikwa napełniona deszczową wodą
czeka osiemdziesiąt dni
aby umył się i wyprał odzienie

Składa ofiarę z baranka
na którego wskazują kobiety
i zapraszają do tańca na rozżarzonych węglach

Już nie płacze – wysławia Jedyne
Menorach błyszczą siedmioraką pieśnią
siedmioma psalmami spływają wody

Rozmawiają o duchach spotkanych na pustyni
tam obok skolopendry i skorpionia
w aromatach lilii z adesmią

Gdzie dzikie kozy kołyszają biodrem wokół koziorożca
a liście słońorośla przysmakiem bywają wśród zup
wśród przypołudnika z różą jerychońską

Jak zmartwychwstanie

VII

Przez skały i góry idzie
niczym król Saul
w poszukiwaniu wody
pożywienia
i cienia

obchodzi się byle czym
sokiem z gałęzi tamaryszku
źródłem wśród bagien
pamięcią ryb z morza tyberiadzkiego
w sieci pełnej pomysłów

Truchleje samotnie

Kto nie może wziąć na siebie i choroby
poniósł nasze opętanie ślepoty i paraliżu
Kto jak złoto błyszczący
- pszeniczny jam wśród kamieni i piasku -

VIII

Podeszwy odparzone
jedynie bąble sączą wilgoć
nachylił się i wylizał
splunął

Bogu pokłon i oddanie czyni
milczy i pali się
spiekoty badyl
suchy

Którą drogę wybrać do swego ogrodu i snu
obieżyświat wśród kóz obgryzających korzonki
lump wędrowny z gwiazdą Dawida
na Wysokiej Górze

Kto niemoce wziął na siebie i choroby
poniósł nasze opętanie ślepotę i paraliż
Kto jak złoto błyszczący
- pszeniczny fan wśród kamieni i piasku -

IX

Nateża myśli i pustkę odsąca
i Nic zostaje jak Bóg

Nieustannie na początku drogi
pieśń nową zaczyna

Ależ tak - pieśń pełną wesela

Jest cząstka Anioła
który skrzydłem wachluje gwiazdom

Jest nieruchomy w rytuale godzin
trwa w deszczu i ciemności

Truchleje samotnie

X

Duch wędruje i tchnie
a jego ciało to człowiek
w bólu pod ciężką ręką Boga

W Judei jest wielkie odludzie
jak przed kryjówką lwa
schowanego przed olśnieniem

Zniszczone jest ciało i skóra
jego nocleg osaczony
nadmiarem jadu i goryczy

Gorzkie fale morza słonego
tworzą własne dzieła:
atole minerałów

Kto niemoce wziął na siebie i choroby
poniósł nasze opętane ślepotę i paraliż
Kto jak złoto błyszczy
– pszeniczny tań wśród kamieni i piasku –

XI

Waldemarowi Smaszczowi

Nie zechcesz – Boże Wszechmogący –
rozliczyć się przede mną z czasu minionego

Pytań nie będę mnożył
przez wieki odbijają się od skał i miazdzą

O obojętność oskarżają Cię – Panie –
o lodowatą krew wargi zaciśnięte i bulgot złowrogi

Cierpiąca okolica
jak źle ukryta rana rozdartego drzewa

Ciężaru ciała i śmierci nie czuję
i nie wiem jak wołać aby pokonać życie

XII

Słońce stwarza pustynię zniszczenie i śmierć

Ziemia stygnie zasysając ciemność

Małe lisy niszczą winorośl i hiena przychodzi

W beznadziei zgorzało światło

Tak było

Puste drogi dni bez cudów i brak przebaczenia

Więc objawienia pragniesz w pół światła

XIII

Na stole czeka potrawa

Jego oczy
wypalone i niebieskie

Usta jego
popękane od mowy

Jego myśl
jak fala i wiatr

Serce jego
jak kamień

Ogromny

XIV

Nie szuka siebie w krainie winnych

Nie chowa pieśni w swoim domu

Nie dotyka padliny

Nie patrzy z pożądliwością

W pomruku fal

W zgrzycie steru

W głodzie ogniu i powietrzu

Spala się krzew

Pali się krew

XV

Na stole czeka potrawa z jabłek

migdały orzechy

wino cynamon

pietruszką zanurzoną w stonej wodzie

z ciemności wyłania się Mesjasz

wśród gorzkich ziół

w samotności niemożliwej

Igniesz do dłoni

Jezusa z Nazaretu

Który Nie Opuszcza

Plaskowyż wypasanych owiec

w absolutnej ciszy

Tysiące małych schodów

XVI

Powaga i tajemniczość
ruin
oddaje Bogu co boskie

Po prawej stronie stoją mury świątyni
po lewej resztki pałacu
a pomiędzy nimi ściany stajni

Rozsypały się w nieładzie kwiaty
na skorupach domostw
w nekropolii

Dyszą kolumnady
brukowane ulice gimnazjum
amfiteatr i łaźnia

W kierunku akropolu
uliczki biegną
pełne kamiennych schodów

Daleko w tle toczy się akwedukt
mocnym snem ukołysze imperium
strumień żywej wody

XVII

Piasku suche łzy
Pizydii Frygii Galacji

Wzdłuż wyschniętego koryta
cynobrowy kolor świtu

Oślepienie drogi
w ostrej czerwieni i fiolecie

Ciągniesz za rękę
i najstarszego dźwigasz na plecach

Wargi drżą o jedno źródło
dwanaście fontann i siedemdziesiąt palm

Płaskowyż wypasanych owiec
w absolutnej ciszy

Tysiące małych schodów

XVIII

Rzeka Abana po prawej
po lewej Parpar

Słońce głoś wibruje
za bramami Damaszku

Krok po kroku
drogi nabierają powietrza

Przytwiedzona do osła wytrwałość
i woda w bukłakach

Do opuszczenia myśli
do opuszczenia ciała

W kierunku akropolu
uliczki biegną
pełne kamiennych schodów

Daleko w cie toczy się akwedukt
mocnym snem ukolysze imperium
strumień żywej wody

XIX

Cisza starożytnych ruin
jak kamień drogocenny
skrywa czas

Tajemnica trwania na wzgórzach
wypatrzonych przed wiekami
przez greckich żeglarzy

Czas ściśnięty w kamień
ociosany przez słońce
i gładki jak wiatr
milczy

Wzgórza to odpowiednie miejsce
do medytacji

JESTEM
JESTEM
JESTEM
K. Wojtyła „Pieśń o Bogu i człowieku”

Ukończonemu Strzajowi
i p. księdzu Edmundowi Binkowskiemu

Ty jeszcze nie wiesz
 że biegnąc do źródeł dotykam tej czułości
 która obmywa powieki i stopy
 a czystością porannych postanowień zachwyca

Ty jeszcze nie wiesz
 że dźwięk przebudzenia jest Jego odblaskiem
 stąd wybór sandałów wytrwałych jak pergamin
 przenoszący SŁOWO

Ty jeszcze nie wiesz
 w jakiej słodyczy pękają granaty
 a potem miąższ figi migdałów
 i kozie mleko spływające po brodzie

Ty jeszcze nie wiesz
 że kiedy zapalam ogień u stóp
 umieram w zachwycie
 zdziwiony mocą nie swoich dłoni:

JESTEM
 JESTEM
 JESTEM

Szumi szum ściszony z czasu przestrzeń wyłoni
 a światło wstęga jasną oliwą ciemność zbyt ciasną

Dyszy cisza w kamieniu szmerze woda w strunieniu
 otocz wodo me ciało obmyj zarem mą wiarą

ciemność każda poranka

WYGNANIE BOGA

Z obręczy nocy zimnej z dymu ciepły promień bezświatnie
 wstaje dźwięcząc wymownie ciepły promień bezświatnie

Panie Twoje niech SŁOWO da początek na nowo
 dopatrz ziemię i lasy olśnij przez wszystkie czasy

„Gdzie Go szukać – kłosa powiedzcie /.../

Cząstka chleba rzeczywietsza niż wszechświat,

Zechć pełniejsza bytu i Słowa

- pieśń jak morze zalewająca

- odmęt słońca

Jesteś - wygnanie Boga.”

„Gdzie Go szukać – kłosa powiedzcie /.../

„Gdzie Go szukać – kłosa powiedzcie /.../”

jasności każdego poranka

Ukochanemu Stryjowi
 ś.p. Księdzu Edmundowi Binkowskiemu

Ty jeszcze nie wiesz
 że biegnąc do źródeł dotykam tej czułości
 która obmywa powieki i stopy

a czystością porannych postanowień zachwyca

Ty jeszcze nie wiesz

że dźwięk przebudzenia jest Jego odblaskiem

przenosiąc jak pergamin

WYGNANIE BOGA

Ty jeszcze nie wiesz

w jakiej słodyczy pękają granaty

a potem miąższ figi migdałów

i kocznie miko sływające po brodzie

„Gdzie Go szukać - kłosey powiedzcie...”

Ty jeszcze nie wiesz

że kłosa chleba trzęsawitsza nie wyciska

pochnięsza bytu i słowa dół u niego mataczą

- odmięć słodca -

- wygnanie Boga”

JESTEM

K. Wojtyła „Pieśń o Bogu ukrytym”

JESTEM

Ukończonemu Stryjowi

Ł.p. Księża Edmundowi Binkowskiemu

Szumi szum ściszony z czasu przestrzeń wyłoni
 a światło wstęgą jasną olśni ciemność zbyt ciasną

Dyszy cisza w kamieniu szmerze woda w strumieniu
 otocz wodo me ciało obmyj żarem mą wiarą

ciemność każda poranka

Z obręczy nocy zimnej z dymu szarej mgły dziwnej
 wstaje dźwięcząc wymownie ciepły promień bezsłownie

Panie Twoje niech SŁOWO da początek na nowo
 dopatrz ziemię i lasy olśnij przez wszystkie czasy

ciemność każdego poranka

Zechciej Panie od zaraz lęków codziennych balast
 zamknąć schować wykruszyć z mej skołatanej duszy

Jesteś na swoją chwałę będziesz na moją ranę
 będąc w cieniu ciemności jesteś w zaraniu

jasności każdego poranka

SEKSTA

Spełniła się noc
wirującym echem chorału gregoriańskiego
biegnie przed tobą
w dźwięku sygnaturki orzeźwiający i krótkim

przecierasz oczy
obmywasz dłonie
zanurzasz stopy
suniesz sutanną

stajesz ponownie przed braćmi ze słowami
na pustynię czasu

INTROIT

Żarem samotnym skulone plecy milczą
przed pyłem drogi
Introibo ad altare Dei w uwadze wielkiej
na białym szlaku

piasek w gardle
utrudnia powiedzenie *Amen*
kiedy wędrowiec dojrzy Ciebie
KTÓRY JESTEŚ w krzaku gorejącym
żadna z okolicznych skał
nie ugasi mego pragnienia
laskę wiary potężnej posiadał Mojżesz
dawno dawno temu

coż ja – robak w pajęczynie piasku

porażone słońce na twardym garbie Hioba
buduje z drobin światła
drabinę do nieba

MEA CULPA

Synowie marnotrawni wracają
w porze głodu i bez okrycia

Stają golasy przebrzydła przed ojcami
którym oczekiwanie odebrało wzrok

Łzy drążą ścieżki ku przebaczeniu
jak promień przebija mrok

I tylko jeszcze ziemniaki obrać i mięso ugotować
powiadają matki

COLLECTA

Krokiem każdym przybliżasz się ku spełnieniu mocy
zapisanej w KRZYŻU
okryłeś szatę czarną i biały wylatujesz
w ramiona Boga

stąpałeś po wodzie
stąpaj – Chryste – po mnie
nadepnij ziemię
odcisnę ślad swój na Twej stopie
uczepię się
będę Twoją piętą

wstydzę się prosić abyś mnie przygarnął
do światła równie czule jak i do ciemności

KYRIE ELEJSON

Toczy się zmiłowanie
żłobi skronie twoje
nieruchomieje w witrażu
i milczy
przestrzeń między niebem i ziemią
rozwiązać pragnę jednym cięciem przez skórę
popękaną jak rozpacz do żywego
wielbłąd oślepiiony

I tylko jeszcze ziemniaki obrać i mięso ugotować
powiadają matki

do światła równie czule jak i do ciemności
wstydzić się prosić abyś mnie przygarnął

OPUSCULARIUM

Gloria na skrzydłach tęczy
takie delikatne pomieszenie
barw tonów i cieni
że łatwo zgubić gloria
codzienny trud

Spierszcnięte usta i lina socha
krąg zawirował - zawierucha
nieśmia zapalenie
ogniem upojenie

Bóg

KYRIELION

Drzewem w ogniu być
i wodą kiedy zamienia się w słuch
a także wiarą muszli iż w niej trwa rozmowa
Stwórcy i stworzenia

przestrzeń między niebem i ziemią
rozwiązać pragnę jednym cięciem przez skórę
popękaną jak rozpacz do żywego
wielbłąd oślepiory

OFFERTORIUM

Synogarlice w cieście
ofiary zanieście
grzechy i żal
grudy i brud
codzienny trud

Spierschnięte usta i ślina sucha
krąg zawirował – zawierucha
nieba zapatrzenie
ogniem upojenie

Bóg

Alba – szata anielska
sutanina – zaproszenie do mistwa

Hosanna

MUT SANCTUSO

Błogosławieństwo z Twego ramienia
Adonai

Pozostawiłeś moją słabość ze mną
i gdzie mam ją ukryć

Wejdę na Górę Boga
u stóp Biblii stanę

W piasku ukryję słabość moją
z łez jak z kamienia moc wydobędę

Alba – szata anielska
sutanna – zaproszenie do męstwa

Hosanna

MYSTERIUM

Na Górze Przemienienia

JEST
jak diament podniesiony do potęgi
kryształ wtulony w pracowitą dłoń
samotnego mężczyzny
który klęczy przed Bogiem Wygnanym
w trwogę krzyżowego drzewa
w potoczystość łzy krwawej
w okruszynę nieba
na Stokach Przeistoczenia

PATER NOSTER

Wodzisz mnie na pokuszenie

ABBA

jak mam się ratować

niebo dźwigam w natężeniu – łydki mi drżą

bezwładny opadasz przez moje barki

szukam śladów Twego oddechu w lustrze

zaś ono zimne jak tafla jeziora

ABBA

miałeś być w niebie – taka była wola Twoja -

od Ciebie pokarm miałem otrzymać

rano – mannę – wieczorem – mięso

ABBA

to ja miałem wpadać w Twoje ramiona

jak w morze

ABBA

błagam o miłosierdzie

to nie tak miało być

niebo i ziemia zaplątały się w moich dłoniach

słowa wystawiłem do wiatru

dzwonią i drżą z zimna

ABBA

Który Jesteś w drzewie i kamieniu

sam

ABBA

AGNUS DEI

BARANKU BOŻY

którego nie rozumiem

BARANKU BOŻY

którego nie umiem

BARANKU BOŻY

który unosisz mnie swym zmiłowaniem

Jak łatwo zieleni zatraca się w czerni

COMMUNIA

Biały opłatek jak Słowo rozległe
I brzegi morza na skraju westchnienia
Błękit wypełnia przestrzenie odległe
W śpiewie psalmisty nie dość jest milczenia
Ty milczysz Chryste w ciszę wygnany
Siedzisz przy drodze zbawianiem znękany

ABBA

miałeś być w niebie – tak a była wola Twoja
do Ciebie pokarm miałem otrzymać
rano – manną – wieczorem – mięso

ABBA

to ja miałem wpadać w Twoje ramiona
jak w morze

ABBA

blagam o miłosierdzie
to nie tak miało być
niebo i ziemia zapłatały się w moich dłoniach
słowa wystawiłem do wiatru
dzwonią i drżą z zimna

ABBA

Który jesteś w drzewie i kamieniu
sam

ABBA

NIESZPORY I

Noc siostra moja
i matka samotna
Archanioł Psalmu Wiecznego
oczekiwania pełna
jak zieleń dorodna
i pieśń wieczorna na skraju świata

Noc

krzyż najbardziej bolesny
samotność najsamotniejsza
oddech najkrótszy

Jak łatwo zieleń zatracą się w czerni

Chwilo wieczornych wzruszeń
i modlitwy

W kącie samotnej planety

Matko moja – Niebieska i Czarna

Matko moja – Gipsowa i Niema

Srebrna i Kryształowa – Matko Wierząca

Niebem Niebieska – Słodka we Wzruszeniu

Smutna w ikonach jak moja

Zdarzyła się miłość wielka

Zdarzyć się musiała

Szeptala stukotem serca

Chwała Bogu Chwała

NIESZPORY II

Bóg w grzesznym moim ciele
fala w szkle zatrzymana
wiatr w witrażu nadbrzeżnego miasta
na północ od serca
w pomruku słów nieprzejednanych
szybkostrzelnych i bezpowrotnych

Obnażony z szaty królewskiej
zdobywałeś wodę źródlaną i chłodną
opuszczony nie budowałeś nawet szałas
aby z szaleństwem w oku wszędzie szukać Ojca

Uczyłeś nas żyć bogobojn
i pozdrawiać naszych braci

Bądź mym przewodnikiem
bo nie chcę być nieszczęśliwy

Zostań we mnie i pocieszaj mnie

Nie uciekaj z mojego ciała
za parawan światła i chustę złocistą
w kształt SŁOWA WIECZNEGO

CZUWANIE

Nieogłędna Przestrzeni
Boskiego Skupienia

Niedosiężna Linio
Zapatrzeń w Człowieka

Linio mojego czuwania

Pracy moja najświętsza
poprzez mrok

Linio zamykająca horyzont
dźwiękiem dzwonu

Chwilo wieczornych wzruszeń
i modlitwy

W kącie samotnej planety

Matko moja – Niebieska i Cicha
Matko moja – Gipsowa i Niema
Srebrna i Czysta – Matko Wieczysta
Niebem Niebieska – Śliczna we Freskach
Smutna w ikonach jak moja żona

Zdarzyła się miłość wielka
Zdarzyć się musiała
Szeptwała stukotem serca
Chwała Bogu Chwała

IDAĆA Z LAMPĄ W DŁONI

Z mroku i cienia historii wybrana
jaśnieje obok wschodzącego słońca
płaszczem otula zimną przestrzeń świata

Idzie o północy z lampą w dłoni
jutrzemka poprzedza blask Boga
światło poranne na ścieżkach ziemi

Ciepłem leczy chore biodra i oczy
unoszą lekko dziecko światła - Miriam -
siostra żyjąca wewnątrz historii

Uczyła nas żyć bogobojnie
i pozdrawiać naszych braci

Bądź moim przewodnikiem

bo nie chcę być wylizaną

Zostań we mnie i pocieszaj

Nie uciekaj z mojego ciała

Nie bój się moich łez

Smutna w ikonach jak moja żona

Zdarzyła się miłość wielka

Zdarzyć się musiała

Szeptala sukcesem serca

Chwała Bogu Chwała

IDAĆA PRZED CHRYSYSEM

W biblijnej swojej pobożności
jak cisza mleczna i ciepła

Skupiona nazywa po imieniu rzeczy
płomień woda garnek mąka igła szczotka

Pieśń Twoja Panie - wezwanie
Amen wypowiada serdeczną siłą
i życie staje się płodnym zaczynem

Rozciąga płótno namiotu
i paliki wbija mocno w ziemię

Maryja idąca przed Chrystusem

MATKA MIŁOSIERNA

Otworzyła przestrzeń
czystą przestrzeń dla SŁOWA

Pośrodku swoich westchnień
Boga przyjąć gotowa

Wzruszona kończącym się mrokiem
w sobie drży cała

Idzie jasności potokiem
przy drodze wierzba omdlała

Wieńcem modlitwy codziennej
dziękczynienie czyni

Gołębkiem wzlatuje w czyste przestrzenie
odwiecznej bez granic AMEN

COMPLETA

Kamiennych chwil stukot twardy
A droga przed tobą wolna
Zamyśleń oddech otwarty
Codzienna wiara mozolna

Pieśń Twoja Panie - wezwanie
Pieśń moja Panie - czuwanie
Pieśń życia - Wieczne Trwanie

Krzyżowa Droga

MATKA TE DEUM

Są we mnie pola chwały Twojej
i miejsca dotyku świętych ust Twych – Panie –

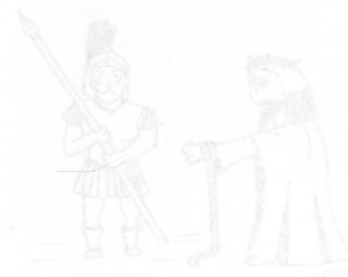
Jest czas brzozy siwej i wierzby
czas wiatru i hymnu

Wspaziona kończącym się mrokiem
w sobie drży cała

Idzie jasności potokiem
przy drodze wierzyła omdlała

Wiedząc modlitwy codziennej
dziękczynienie czyni

Golębkiem wziątuje w czyste przestrzenie
odwiecznej bez granic AMEN



Przez Krzyżową Droga

TE DEUM

Są we mnie pola chwały Twojej
i miejsca dotyku świętych na Twych – Panie –

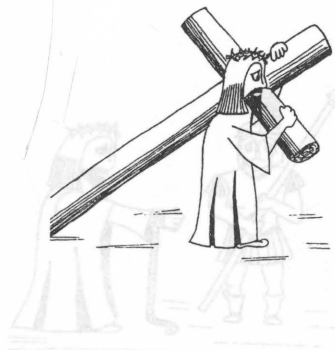
Jest czas brzozy siwej i wierzby
czas wiatru i hymnu



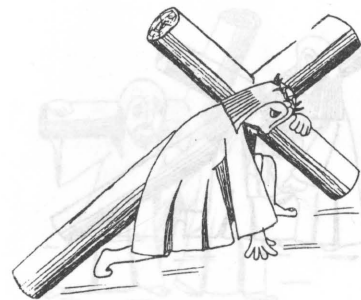
III.
Złoty I.
Przed wiekami skazany

III.
Kryz dźwignij
niebo wygij

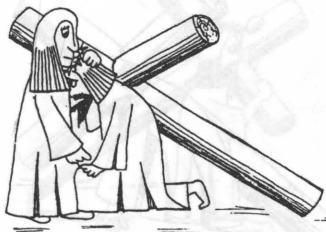
Krzyżowa Droga



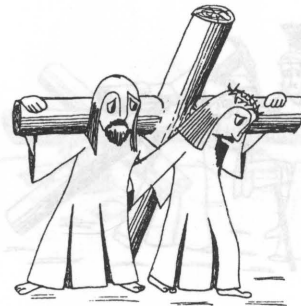
II.
Krzyż dźwignął
niebo wygiął



III.
Zdrożony
pod krzyżem skulony



IV.
Z matki ramion
w zgon



V.
Cyrenejczyku
chłopczyku



VI.
Twarz puchnie
na płótnie



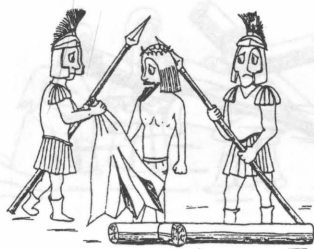
VII.
Drugi raz
za nas



VIII.
Kobiety płaczą
za dzieci



IX.
Upadł
w ziemi ranę



VIII.
Kobiety płacę.
Nagi człowiek



XI.
Boże
bezdroże



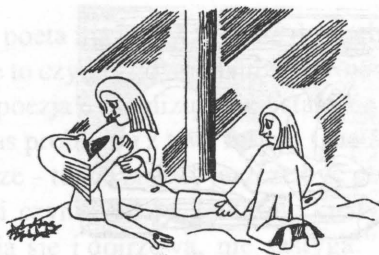
XI.
Boże
bezdroże

XII.
Eloi
Eloi

Nagi człowiek

Waldemar Smarzycki

Między niebem i ziemią - o twórczości Jerzego Binkowskiego



Każdy poeta... Wówczas, gdy zaczęło to... wędrowanie - mitych- miał jego poezję... antyczna. Nie ma wówczas... Błądziła się sama. Poeci wierzą... Poeta po... czyni, poezja jego rozwija się i ogólnie... To zdania Amy Kabanickiej, sformułowane przy okazji refleksji nad poezją I. J. Twardowskiego, z powołaniem można odnieść do twórczości Jerzego Binkowskiego. Autor *Wyznania Bogu* - dzisiaj wiemy to już na pewno - miał „swoje zadanie” do spełnienia, ale minęło wiele czasu, „gdy zaczął to czynić”. Stąd też pierwsze pytanie, jakie narzuca się po zreflekcjach z dziełami poezji Jerzego Binkowskiego, dotyczy zwykle jego postaci późnego - zwłaszcza jak na poetę debiutu. W jednym z wywiadów tak na nie odpowiedział: „... pisałem zawsze. Ale... pisarstwo było dla mnie świadomością i trudem...”. XIII. Ciało zostało i KRZYŻ



XIII
Cisza
ciszej

XIV.
Cisza
ciszej

Waldemar Smaszcz

Między niebem i ziemią – o twórczości Jerzego Binkowskiego

„Każdy poeta ma jakieś zadanie do spełnienia. Wówczas, gdy zacznie to czynić, gdy odnajdzie swoje zadanie – natychmiast jego poezja dynamizuje się i staje się autentyczna. Nie ma wówczas problemu z tzw. formą. Ona znajduje się sama. Pisać wiersze – to nie znaczy jeszcze być poetą. (...) Poeta po prostu musi czynić swoje. I właśnie kiedy to czyni, poezja jego rozwija się i dojrzewa, nie zastyga.” Te zdania Anny Kaminskiej, sformułowane przy okazji refleksji nad poezją ks. Jana Twardowskiego, z powodzeniem można odnieść do twórczości Jerzego Binkowskiego. Autor *Wygnanie Boga* – dzisiaj wiemy to już na pewno – miał „swoje zadanie” do spełnienia, ale minęło wiele czasu, „gdy zaczął to czynić”. Stąd też pierwsze pytanie, jakie nasuwa się po zetknięciu z dojrzałą poezją Jerzego Binkowskiego, dotyczy zwykle jego dość późnego – zwłaszcza jak na poetę debiutu. W jednym z wywiadów tak na nie odpowiedział: „...pisałem zawsze. Ale też zawsze towarzyszyła mi świadomość trudu stworzenia języka indywidualnego – wiedziałem, że nie mówię po swojemu, że mówię jak wszyscy. To nie zachęcało mnie do wyjścia na zewnątrz. Były też inne przeszkody – studiowałem na KUL-u, a to w owych czasach nie ułatwiało zaistnienia w życiu li-

terackim.” Moim zdaniem ważniejsze były właśnie „te inne przeszkody”, i nie ograniczały się one tylko do związków z Katolickim Uniwersytetem Lubelskim, będącym istotnie solą w oku komunistycznego systemu edukacji. Poezja, którą Jerzy Binkowski „nosił” w sobie, przez wszystkie lata Polski pojałtańskiej nie znajdowała miejsca w oficjalnym życiu; nawet tak wybitne indywidualności jak Roman Brandstaetter czy ks. Jan Twardowski pozostawały w gruncie rzeczy na marginesie ówczesnej literatury. Ze smutkiem należy skonstatować, że i dzisiaj, zwłaszcza jeśli idzie o recepcję krytycznoliteracką, niewiele się pod tym względem zmieniło. Jedynie ks. Twardowskiemu, dzięki ogromnej popularności, jaką cieszy się wśród ogromnych rzesz czytelników, udało się pokonać znowę milczenia naszych luminarzy ustalających obowiązującą hierarchię i przyznających miejsce na parnaisie. Do dzisiaj nie pojawia się w dyskusjach o poezji współczesnej ani Anna Kamińska (zwłaszcza z ostatniego okresu twórczości), ani ks. Janusz St. Pasierb; wymieniam jedynie poetów o niekwestionowanym dorobku artystycznym. To jeden z problemów naszej literatury, który musi zostać podjęty, jeżeli jej obraz nie ma pozostać kaleki.

Jerzy Binkowski dojrzał w latach największego napięcia w stosunkach państwo – Kościół. Pierwsze świadome wybory Jerzego Binkowskiego nie pozostawiają cienia wątpliwości, że były konsekwentne i wolne od koniunkturalizmu. Studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim oznaczały wówczas zgodę na skazanie siebie na margines życia społecznego, ale w zamian zapewniały naukę wolną od nacisków oficjalnej propagandy. (Dodajmy w tym miejscu, że w przypadku Binkowskiego było to też połączone z koniecznością nierzadkich przecież podróży z Gdyni do Lublina). Inny, ale nie mniej wyraźny, był wybór tematu pracy dyplomowej. Student psychologii zdecydował się poświęcić ją wybranym lirykom Jerzego Lieberta, świetnego poety, najwybitniejszego przed-

stawiciela nurtu chrześcijańskiego w poezji dwudziestolecia międzywojennego, autora bodaj najczęściej cytowanego dwuwiersza:

*Uczyniwszy na wieki wybór,
W każdej chwili wybierać muszę.*

Każdy kto chociaż trochę interesuje się twórczością tego niezwykłego poety, wie doskonale, że nie wyczerpuje się ona w dokonaniach artystycznych; wymaga od odbiorcy podążania za autorem, uznania jego światopoglądu ze wszystkimi konsekwencjami. Nie można – dopowiadając rzecz do końca – pozostać wobec niej letnim czytelnikiem lub chłodnym badaczem.

Późniejsze dokonania Jerzego Binkowskiego świadczą, że jego lektura Lieberta była wnikliwa i owocna na przyszłość. Ale czyż mogło być inaczej, jeżeli miało się w pamięci takie liryki, jak choćby ten, *Veni Sancte Spiritus*, najgłębiej dotykający problemów twórczości.

Kto wcześniej przeszedł taką szkołę poetyckiego myślenia, nie mógł zapełniać czystych kartek bez poczucia „grozy słowa”, które to określenie Jerzy Liebert wywiodł z pewnością z biblijnej „bojaźni Bożej”. Jak przy spotkaniu z Bogiem ogarnia człowieka lęk, tak poeta świadomy swojego powołania musi odczuwać „grozę słowa” pamiętając, że „na początku było Słowo”.

Jerzy Binkowski debiutował w „Białostockim Informatorze Kulturalnym”, prowadzonym wówczas przez Wiesława Kazaneckiego, w gorących – dosłownie i w przenośni – wakacyjnych miesiącach 1980 r. I chociaż wiersze, które znalazły się w lipcowo – sierpniowym numerze miesięcznika powstały wcześniej, to ów moment przekroczenia progu literatury był z pewnością znaczący. W jednym z krótkich liryków pt. *Mysterium* poeta napisał:

*Na początku było słowo
a teraz
czy światło*

Pytanie to wyraźnie zaktualizowało się w tamtych dramatycznych miesiącach, które niebawem przyspieszyły decyzje twórcze Binkowskiego. Garść wierszy wówczas opublikowanych wyraźnie określiło najważniejsze „tematy” jego poezji. Nurt najbardziej osobisty wyznaczał piękne wiersze o matce („nauczyłaś mnie ziemi...”), szersze horyzonty autorskich zainteresowań wyznaczał wiersz o Polsce, poświęcony rocznicy powstania warszawskiego, oraz tryptyk liryki religijnej. W tym samym roku poeta opublikował jeszcze jeden utwór wyraźnie określający jego postawę światopoglądową:

*Słotczony
w małym skrawku słowa
ja
dokonuję rejsu
w towarzystwie samotnego Boga
któremu łatwiej
bo w trzech osobach
(...)*

Widać, że zagadnienia na wskroś literackie: poeta – słowo – Bóg, było jednym z najważniejszych, jakie nurtowało Jerzego Binkowskiego na początku drogi literackiej. I z pewnością poświęciłby mu swoje nowe wiersze. Stało się jednak inaczej. To, co wówczas działo się w Polsce, domagało się natychmiastowej reakcji. Cała poezja skupiała się wówczas na wypowiedzeniu własnych i zbiorowych lęków, ale i uniesień, i nadziei. Binkowski, chodząc – jak pisał – „w kieracie jednej myśli//od drzwi do drzwi niespokojnego dnia i nocy”, napisał (wśród innych wierszy) „Akord” – w pełni wybrzmiały, dojrzały utwór ujawniający tę cechę, która stanie się bodaj

najważniejszym wyróżnikiem jego twórczości. Chodzi o wyważone, precyzyjne operowanie formą i dbałość o leksykalną stronę wypowiedzi poetyckiej. Akord w znaczeniu słownikowym oznacza „współbrzmienie lub następstwo co najmniej trzech różnych co do wysokości dźwięków”. Nie jest więc przypadkiem, że „Akord” Binkowskiego składa się z trzech dziesięciowersowych części, różnych w tonacji lirycznej, ale tworzących artystyczną całość. Ten „sierpniowy akord”, mimo zakłęb, że „nie trzeba się bać butów ciężkich/ /nie ma się czego bać”, rychło przeszedł jednak w Lamentację, będącą poetyckim zapisem – jak po latach wyznał poeta – „wszechogarniającego doświadczenia cierpienia”. Wielu poetów odwoływało się do Biblii, jednak w przypadku Binkowskiego to nawiązanie do skarg Jeremiasza nie miało nic wspólnego z automatyzmem odwołań, ale wynikało z naturalnego wręcz odnoszenia własnych doświadczeń do tych napisanych w „księdze nad księgami”:

*Siedzisz przy drodze
Panie, jakbyś chciał odpoczywać
Trwasz w mojej ojczyźnie
Gdzie rewirów swoich pilnuje dzikie zwierzę
Cieniem tak ciemnym jak góra
Drogi tutaj, Panie są bezsilne
I wloką się w żałobie
Moja nagość jakże jest widoczna
I nie mam gdzie się ukryć
szukając chleba
Panie, zesłałeś mi ból – a ja upadłem
(...)*

I – co wydaje się doprawdy niezwykle – w tym mrocznym czasie, tuż po zniesieniu stanu wojennego, w 1983 roku ukazał się debiutancki zbiorek Jerzego Binkowskiego zatytułowany „Akord”. Samo pojawienie się tomiku, stanowiącego wyraz jednoznacznego sprzeciwu wobec dziejącego się bez-

prawa i przemocy, było czymś zdumiewającym w warunkach ówczesnej cenzury. Niestety, powodów do satysfakcji autor nie miał zbyt wiele. Nie ukazywała się wówczas prasa literacka, a potencjalni odbiorcy poezji zajęci byli sprawami często dalekimi od sztuki. Dopiero organizowało się niezależne życie kulturalne. Wkrótce zaś autor na kilka lat wyjechał z kraju, a niewielka, skromnie wydana książeczka – to było zbyt mało, aby utrwalić się w świadomości odbiorców.

Oddalenie od tego co człowiekowi najbliższe, zwykle bywa poezjotwórcze. Błądzącemu w piaskach Libii Jerzemu Binkowskiemu pozostawiona daleko Polska mogła jawić się w rozgrzanim do białości powietrzu jedynie fatamorganą, za to nad wyraz czytelnie stawały się obrazy utrwalone w Biblii. Starożytność przedchrześcijańska pozwalała sięgnąć w przeszłość aż starotestamentową, wiele zrozumieć, ożywić poetycką wyobraźnią słowa zapisane w Księdze. Ale o tym wszystkim czytelnicy mogli się dowiedzieć dopiero po ukazaniu się nowych tomików wierszy po powrocie autora do kraju.

Jestem przekonany, że właśnie w Północnej Afryce, tak bardzo nasyconej historią rzymską i chrześcijańską, Jerzy Binkowski w pełni uświadomił sobie – by raz jeszcze nawiązać do wypowiedzi Anny Kamieńskiej – jakie zadanie ma do spełnienia. Tam też jego poezja dojrzała i rozwinęła się. Uprzedzając szczegółowe omówienia tego okresu, sięgnijmy jednak po jeden z najpiękniejszych wierszy wyniesionych z piasku pustyni, sonet poświęcony Polsce:

*Żagiel wiatru dmie w ramiona chustą blasku
Od brzegu daleko tak blisko do gniewu
Ból oczu otwartych zgubił mnie wśród piasku
Drży myśli początek i prawda – brak śpiewu*

*Wśród jezior słonych leżysz odłogiem białym
W pejzażu strofa uboga jest i prosta
Ziemio zmartwiła z anachoretą starym
Niebo łśni ostro fatamorganą POLSKA*

*Pragnę PANIE oliwy jak panny mądre
Światła dłoni kochanej w szarym poranku
Doliną chcę toczyć marzenia okrągłe*

*Niech powrócą dni z mlekiem w kamiennym dzbanku
Krowy łeb pochylony w poszycie łąki
Pełnij trawo i ukryj żar tej rozłąki*

Zanim jednak ukazały się poetyckie zapisy bezpośrednio nawiązujące do doświadczeń afrykańskich, Binkowski opublikował wiersze tak jednorodne w swoim charakterze, jakby ich autor powrócił z długich rekolekcji, czasu skupienia, kiedy jesteśmy skłonni raczej milczeć niż wyrażać w słowach nasze przemyślenia. Pierwsza książeczka, przygotowana przy plastycznym współudziale Ryszarda Struńca, zaskakiwała zarówno swoim kształtem edytorskim, jak i ... poetyckim. Krzyżowa Droga ograniczała się jedynie do niezwykle lapidarnych podpisów pod kolejnymi stacjami męki Chrystusa. Czytając takie jednozdaniowe strofy: „Przed wiekami // skazany”, „Krzyż dźwignął // niebo wygiął”, (...) „Twarz puchnie // na płótnie”, (...) „Boże // bezdroże”, (...) „Cisza // ciszej”, mimo woli zadajemy sobie pytanie: gdzie się cisza zaczyna, a gdzie się słowo kończy... Anna Kamieńska, autorka niezwykle wnikliwych rozważań o poezji jako ascezie słowa, napisała: „W tej trosce o wierność słowa dochodzę do własnego gatunku wiersza, który nazwałam »milczeniem«. Wiersze – milczenia, wiersze zaledwie potrącające o słowa. Wiersze, które spodziewają się powiedzieć więcej niż jest powiedziane. Jest to zresztą jakieś ewangeliczne prawo ubóstwa (...). Milczenie

poezji nie jest rezygnacją z mówienia, jest zaniechaniem, ale uwewnętrznieniem mowy. Milczenie z pełni, a nie z pustki”. Takie właśnie są kolejne cząstki Krzyżowej Drogi. Zmierzają w stronę milczenia, ale – co trzeba koniecznie podkreślić – bardzo zakorzenione są w konkrety. Stąd ich mocne osadzenie w rzeczywistym doświadczeniu cierpienia Chrystusa, cierpieniu tak ogromnym, że nie można wyrazić go słowami, wobec czego muszą umilknąć. Zwróćmy uwagę, że dopiero w XIV stacji zanika konkret i pojawia się nazwana wprost cisza, poddana stopniowaniu: „Cisza // ciszej”. Wobec nieuchronności śmierci słowa okazały się bezradne.

Od tego momentu Jerzy Binkowski rozpoczął trudną drogę odbudowywania słowa, bez czego – co może zabrzmieć banalnie – poezja nie jest możliwa. Nie było to łatwe, zważywszy, iż pokusa trwania w milczeniu znajduje – także w gruncie chrześcijaństwa – rozliczne motywacje. Poeta osiągnąwszy świadomość więzi z rzeczywistością nadprzyrodzoną, odczuwa spełnienie, wie przy tym, że nie można tego stanu wyrazić w słowach. I tylko powinność dawania świadectwa prawdzie pobudza go do podjęcia wysiłku, by wyrazić w słowach to, co w swojej istocie jest niewyrażalne.

Impulsem do powstania tomu *Wygnanie Boga* – niejako powtórnego debiutu poety – była śmierć jednej z najbliższych mu osób, stryja, ks. Edmunda Binkowskiego, u którego autor – jak to niejednokrotnie podkreślał – wychował się. W poezji polskiej, od czasów *Trenów* Jana Kochanowskiego, pojawiały się zbiory wierszy w całości poświęcone zmarłym, ale ten, Jerzego Binkowskiego, jest tak bardzo inny, że już sama ta odmienność zasługuje na uwagę. Nie ma w nim opłakiwania zmarłego, ani też nie podnosi autor jego zasług. Pożegnał stryja – kapłana w najpiękniejszy sposób – specjalnie napisaną mszą świętą, w którą wpisał swego bohatera. Dało to niespodziewany efekt artystyczny. Otrzymaliśmy dzięki temu nie tylko indywidualny poetycki zapis mszy świętej, co poemat

z indywidualnym bohaterem, który będąc kapłanem, prowadzi nas ze słowami modlitwy od Jutrznii po Nieszpory.

Jerzy Binkowski bardzo trafnie ujął najważniejszą cechę księdza rzymsko – katolickiego – jego samotność w świecie.

I właśnie o tej prawdziwej samotności kapłana, przyjętej wraz z powołaniem, mówi Jerzy Binkowski w swoim zbiorze. Tylko doświadczając takiej samotności księdza można w pełni zrozumieć *Wygnanie Boga*. Autor, co podkreśla motto otwierające tomik, tytuł swojej książki zaczerpnął z poematu Karola Wojtyły *Pieśń o Bogu ukrytym*. W jednej części tego niezwykle utworu toczy się przejmująca rozmowa Ojca z Synem, już skazanym na wygnanie. Ojciec z bólem wypowiada zdanie o przeznaczeniu swego Jedynego Syna: „Ręce Twoje odejmę z mych ramion – // synu, widzisz to unicestwienie, // Twój blask, kiedy przyjdzie dzień // wydam kłosom pęczniejącej ziemi”. Syn jednak przyjmuje swój los, opuszcza wejrzenie Ojca i odbiera: oczy ludzkie (...) „zalané światłem pszenicznym”.

Jutrznia, rozpoczynając *Wygnanie Boga*, jest poranną modlitwą człowieka znajdującego się na granicy ustępującej już nocy i budzącego się dnia. Światło i ciemność w języku biblijnym to – jak wiadomo – nie tylko konkretne słowa, ale i określenia symboliczne. Światło, blask, jasność są po stronie Boga, noc, ciemność, mrok to obszary, gdzie nie sięga łaska. Człowiek musi więc jak najprędzej uwolnić się z mroku, by znaleźć się w blasku otaczającym Boga:

*Szumi szum ściszony z czasu przestrzeń wyłoni
a światło wstęgą jasną olśni ciemność zbyt ciasną*

*Dyszy cisza w kamieniu szemrze woda w strumieniu
otocz wodo me ciało obmyj żarem mą wiarą*

*ciemność każdego poranka
(...)*

Po przebudzeniu i obmyciu wodą (która także w języku biblijnym ma nie tylko konkretne znaczenie), bohater zwraca się do Boga z taką oto prośbą: „panie Twoje niech SŁOWO da początek na nowo...” To nie tylko całkowite zawierzenie Stwórcy, ale i przekonanie, że każdy dzień jest darem, jedynym i niepowtarzalnym, poczyną się dzięki Słowu, które wyłania go z ciemności. Jeżeli tak właśnie przyjmujemy budzący się dzień, słowa, którymi bohater kończy swoją poranną modlitwę, wydadzą się nam wręcz „będąc w cieniu ciemności jesteś w zaraniu // jasności każdego poranka”.

Bohatera tego zbioru najpełniej określają jego modlitwy. Staje przed Bogiem „robak w pajęczynie piasku”, ma „piasek w gardle”, który utrudnia mu „powiedzenie nawet »Amen«, nie znajduje źródła, by ugasić pragnienie, a jednak porażony słońcem „buduje z drobin światła // drabinę do nieba”. Czeką na synów marnotrawnych, by razem z nimi powtarzać *mea culpa*. W białej szacie wychyla się „ku spełnieniu mocy // zapisanej w KRZYŻU”, do końca poddaje się woli Boga, prosi, by Chrystus stąpił po nim jak kiedyś po wodzie: „odcisnę ślad swój na Twej stopie // uczepię się // będą twoją piętą”.

Pełen lęków, niepewności, nie zamyka się jednak w mnożeniu własnych słabości, potrafi poddać się Bożej chwale, zapatrzony w piękno Słońca niewyczerpanego woła w uniesieniu:

*Gloria na skrzydłach tęczy
takie delikatne pomieszanie
barw tonów i cieni
że łatwo zgubić gloria*

A jednak, odmawiając odwieczne słowa modlitwy „Ojcze nasz”, powraca człowieczy lęk, czy nazbyt wiele złożył Stwórcą na słabe ramiona swego sługi. To jeden z najpiękniejszych i najgłębszych utworów tego tomu, przedziwna rozmowa kapłana z Bogiem. Solidaryzujemy się z każdym jego zda-

niem mając świadomość, że wiele z nich wypowiada także i w naszym imieniu:

Wodzisz mnie na pokuszenie

ABBA

jak mam się ratować

niebo dźwigam w natężeniu – tydki mi drżą

bezwładny opadasz przez moje barki

szukam śladów Twego oddechu w lustrze

zaś ono zimne jak tafla jeziora

ABBA

(...)

Chrystus jednak „milczy w ciszę wygnany”, pozostaje Barankiem Bożym, którego nie można ani się nauczyć, ani zrozumieć. Pozostaje „codzienna wiara mozolna”. I w niej przede wszystkim spełnia się życie pokornego sługi Bożego.

Kończymy lekturę *Wygnań Boga* zupełnie nie dostrzegłszy, że w jej trakcie zatarła się granica między bohaterem, autorem i czytelnikiem. Wobec Boga wszyscy znajdujemy się w tej samej sytuacji. Nie wyróżnia nas ani szata, ani zasługi, ani czas podążania za Krzyżem. Jerzy Binkowski swoim cyklem poetyckim nie tylko więc utrwalił pamięć bliskiej osoby, ukazał też wspólnotę Kościoła rozumianego jako rzeczywistość bosko – ludzką, wspólnotę wiary, nadziei i miłości, z zawsze wśród niej obecnym Chrystusem, zwłaszcza podczas sprawowania Eucharystii, głoszenia słowa Bożego podczas wspólnej modlitwy.

Poetycki zapis mszy świętej nie tylko przywrócił Jerzemu Binkowskiemu mowę, co przekonanie, że trud pracy nad słowem nie sprowadza się do tworzenia tylko bytów artystycznych. Przykładając pojęcia etyczne do poezji nie musimy, a nawet nie powinniśmy rezygnować jednak z kryteriów estetycznych. I nie chodzi jedynie o treści dyskursywne przeka-

zywane przez wiersz. Opowiedzenie się po stronie słowa, którego cechą podstawową jest znaczenie, w sztuce XX wieku jest wyborem określonych wartości. Poezja odkrywa i wyraża prawdy, których nie sposób wyjawić w żadnym innym języku. Nie jest więc jej celem olśnienie czy zadziwienie odbiorcy, ale podzielenie się z nim słowem niby chlebem czy też danie świadectwa. Musi więc dążyć do prostoty wypowiedzi, a to – jak wiadomo – jest sztuką (właśnie: sztuką!) najtrudniejszą.

Jerzy Binkowski nigdy nie chciał mówić „tak jak inni”, długo szukał własnej dykcji, terminując u autorów, którzy nie wstydzili się mowy dostojnej, pełnej godności, ale jednocześnie nie używającej słów „nadaremnie”. Jednego źródła – Biblii – nie musiał odkrywać, zawsze było mu bliskie. Jeżeli dodamy do tego ogromną wrażliwość na liturgię, która bez trudu potrafiła nasycić potrzebę piękna, będziemy mieli bodaj wszystkie elementy pozwalające na ukształtowanie własnego języka poetyckiego.

Głosami z pustyni, kolejnym po *Wygnanium Boga* tomem wpisał się autor w bogatą tradycję poetyckich podróży na Wschód, zapoczątkowanych przez autorów romantycznych.

Jerzy Binkowski znalazł się w piaskach pustyni w okolicznościach jakże odmiennych od tych, które kierowały na pielgrzymie szlaki jego poprzedników. Potrafił jednak twórczo wykorzystać pobyt w Afryce Północnej, nie tylko dzięki swojemu uwrażliwieniu na historię, kulturę, ale i wyobraźni żywiącej się Biblią oraz otwartością na sprawy sakrum. Osią konstrukcyjną poematowego cyklu i tym razem jest biografia konkretnego bohatera, a raczej jej zarys. Pozwala to nie tylko śledzić jego jednostkowe losy (nie jest to wszak opowieść epicka), ale też poddane uniwersalizacji doświadczenia człowieka tamtej epoki. Poeta wskrzesza starożytne miasta, w których niegdyś tętniło życie, napełnia je ludźmi, każe przybywać do nich wędrowcom, chłonących wszystko,

co dzieje się w murach zapewniających wszystkim bezpieczeństwo. Aby uniknąć zamknięcia w jednym tylko miejscu, bohaterem zbioru czyni wędrowca, który „przeprawił się // na wyniesiony drugi brzeg”, i odtąd jego własna historia związała się nierozłącznie z dziejami miasta. Nie przestała jednak być jego osobistym doświadczeniem i indywidualnym poszukiwaniem prawdy. Bohater zarówno przeżywa miłość, zmysłowe oczarowanie wybraną kobietą, jak i doświadcza losu żołnierza, zabijającego, ale i ocierającego się o śmierć, dostrzegającego wreszcie bezsens wojny.

Podczas gdy miasto rosło poszerzając swój obszar, bohater wzbogacał się wewnątrz, o czym świadczą choćby takie spostrzeżenia, jak to, wyodrębniające „miejsce najwyższe w okolicy”, które zdawało mu się „miejscem styku nieba i ziemi”, czy też refleksja na temat śmierci, zakończone „nie-dorzeczną” – jak mu się wydawało – myślą, „że będzie żył zawsze”.

Możemy snuć domysły, skąd taka właśnie osobowość owego Rzymianina, nie zawsze zrozumiała na tle tamtej epoki. Nie możemy zapominać, że wszystko w tym poemacie istnieje z nadania autorskiego, poeta doskonale panuje nad całością, a dbałość o konkret i mnogość szczegółów sprawia, że skłonni jesteśmy uznać ten świat za wiarygodną wizję przeszłości. Tymczasem jest to przede wszystkim poemat o kształtowaniu się nowego człowieka, który sięgnie już czasów Chrystusa. Wystarczy uważnie wczytać się w wiersz otwierający zbiorek, by dostrzec rolę autora w tym poemacie: wskrzesza on epokę, gdy już „nieba odbłask poraził człowieka”, odrzucając „słowa o magicznej mocy przypadków”, w której człowiek „będzie wargami smakować świeżość wyssaną ze źródła” i nie pozwoli „ciemności na plecy wpełznąć”. Nic więc dziwnego, że w pewnym momencie pojawia się w zbiorze postać jednoznacznie wskazująca na czas, w którym żyje bohater. To oczywiście św. Jan, posłany by prostować

ścieżki przed nadejściem Pana. Nie słuchali go jednak mieszkańcy starożytnego miasta, stąd nie pozostało po nim żadne świadectwo, i tylko zabłąkany w pustyni wędrowiec – poeta wywołuje ich z zapomnienia. Wiersz o nich należy niewątpliwie do najpiękniejszy w cyklu:

*Mieszkańcy starożytnego miasta
ciała wasze zamienione we wspomnienie
wystrugane przez piasek do suchych kości
na skrzyżowaniu spierzchniętych ulic*

*Ani jeden okrzyk nie został
ani dostojna moc chórów i senatorów
żadne westchnienie nie ocalało
każda łza okazała się nieważna
(...)*

W tej sytuacji trudno się dziwić, że następny tom wierszy poświęcił poeta już późniejszej epoce, gdy po pustyniach wędrowali uczniowie i wybrańcy Pana, by wszystkim napotkanym nieść Dobrą Nowinę. Symbolika chrześcijańska – jak wiadomo – zupełnie pomija miasta tętniące gwarem wielkie skupiska ludzkie, nierzadko nazywane targowiskiem próżności. Skupia się zaś na bezkresnych przestrzeniach pustyni. Pustynia bowiem nie jest odwrotnością miasta, lecz raj, pierwotnej urodzajnej ziemi, którą Bóg obdarował człowieka. Miasta pojawiały się znacznie, znacznie później, gdy pamięć rajskiego ogrodu niemal zupełnie się zatarła, a człowiek nie ustawał w tworzeniu jego namiastek. Ci zaś, którzy zachowali w pamięci choćby ślad ziemi utraconej, udawali się na pustynię, która stała się symbolem doświadczeń i oczyszczenia. Nie zawsze była to własna decyzja człowieka, czasami decydował splot różnorodnych okoliczności, innym razem głos Pana.

I właśnie o takim wezwaniu człowieka przez Stwórcę mowa jest w ostatnim z opublikowanych dotąd tomików Je-

rzego Binkowskiego. Przykuwa ona uwagę już swoim tytułem. *W drodze z Damaszku* – to musi poruszyć wyobraźnię, zatrzymać myśli, a nawet zaniepokoić. Tak sformułowane zdanie przesuwa ustalone, wydawało by się ostatecznie, znaczenie wydarzenia, które nie tylko zapoczątkowało uczestnictwo Apostoła Narodów w dziele ewangelizacji, ale było też najbardziej bodaj wyrazistym przejawem nieuchronności woli Bożej. Przemiana Szawła, który „siał grozę i dyszał żądzą zabijania uczniów Pańskich w wybrane naczynie Pana”, była wydarzeniem wstrząsającym, porażającym wręcz, którego z ludzkiego punktu widzenia nie sposób wytłumaczyć. Człowiek ten bowiem nie został przez Chrystusa zapytany „czy, chcesz tego?”, „czy pragniesz mi służyć?”, ani nie usłyszał polecenia: „zostaw wszystko i pójdz za mną”. A i sama postać wybranego wystawiała na próbę ludzkie pojęcie o „naczyniach Pana”. Szawel nie tylko nie należał do uczniów Mistrza z Nazaretu, ani nawet ludzi obojętnych, lecz był zapamiętałym prześladowcą wyznawców nowej wiary; spotkałszy go na kartach Ewangelii w scenie kamienowania św. Szczepana.

Zmartwychwstały Zbawiciel działał jak starotestamentowy Jahwe – światłością jako znakiem i głosem z nieba. Wszystko, co się wydarzyło u wrót Damaszku było tak niezwykle, trudno więc się dziwić, że od początku zaprzętało uwagę, stało się przedmiotem dociekań biblistów, teologów, a potem także psychologów.

Autor jakby uznał, że to, co wydarzyło się u bram miasta należy do największej tajemnicy nawrócenia, której nigdy nie przenikniemy. Paweł porażony łaską rozdarł serce, nie szaty. Nie demonstrował nowej postawy zewnętrznymi oznakami, ale wypełniał gorliwie wolę Pana. Sprostował głosowi Chrystusa, który wymagał nawrócenia natychmiastowego, radykalnego i stałego. W jednym z najgłębszych utworów z tego cyklu czytamy:

*Pytań nie będę mnożył
przez wieki odbijają się od skał i miazdzą*

*obojętność oskarżają Cię – Panie
o lodowatą krew wargi zaciśnięte i bulgot złowrogi*

Czy można się dziwić, że po tych słowach poeta postanowił zostać swego rodzaju kronikarzem przemienionego Szawła, „żydowskiego zbrodniarza”, pamiętającego, że przelewał krew wyznawców, więc tym gorliwiej poszerzającego chrześcijaństwo na ziemi...

Jerzy Binkowski nie pomija, oczywiście, Pawłowego nawrócenia, ale też ma świadomość, że jest to początek, a nie punkt kulminacyjny. Stąd w wierszu Przywarł wargami... powściąga emocje, zdobywa się na prawdziwie oszczędny ton, zamykając ów cud w trzech trójwersowych strofach, z których tylko jeden wers jest dopowiedzeniem („śmiertelnie błąd”), pozostałe zaś oparte na twardych czasownikach, przesuwających liryczną akcję wiersza, miarowym, odmierzonym rytmem zdarzeń.

Zwraca uwagę surowy realizm (choć to nie najlepsze słowo w odniesieniu do poezji) w ukazywaniu misji Apostoła, jak w tych fragmentach: „Podeszwy odparzone // jedynie bąble sączą wilgoć // nachylił się i wylizał // splunął...”; „Zniszczone jest ciało i skóra”; „Usta jego // popękane od mowy...” Ale nie do tego ogranicza się poetycki wymiar poematu. Kreślone obrazy poetyckie doskonale wpisują się w jednorodność artystycznej wizji:

*Krok po kroku /
drogi nabierają powietrza /*

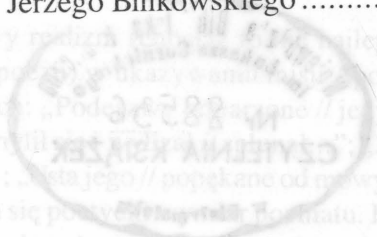
*Przytwardzona do osta wytrwałość
i woda w bukłakach*

W wydawanych rok po roku kolejnych zbiorach poetyckich (1991 – 1994) Jerzy Binkowski przebył jakże charakterystyczną drogę od niemal zupełnego milczenia, gdy nieliczne, pojedyncze słowa ewokowały rzeczywistość dziejącą się jakby poza zasłoną słów, po – w pełni wybrzmiałe – wiersze z *Głosów z pustyni* i *W drodze z Damaszku*, oparte na oryginalnym obrazowaniu i bogatej metaforyce. Okazało się, że wyrafinowane na pozór środki artystyczne, gdy służą jak najpełniejszemu oddaniu praw niewyraźnych w żaden inny sposób, nie stanowią skazy, ale przeciwnie, może być do nich przykładana ta sama miara etyczna, co do pojęć ujmowanych w kategoriach prawdy i fałszu. Tak właśnie jest w Biblii, gdzie autorzy nie wahają się sięgnąć po nawet niezwykle wyrażenia, jeżeli tylko służą przywoływaniu wyjątkowych doświadczeń. Autor *Wygnań Boga* dopracował się własnego języka, co jest warunkiem koniecznym uprawionej sztuki, a problematyka dotychczasowych jego tomów pozwala mieć pewność, że nowe poszukiwania artystyczne będą równie interesujące.



Spis treści

Głosy z pustyni	5
W drodze z Damaszku	33
Wygnanie Boga	55
Waldemar Smaszcz - Między niebem i ziemią - o twórczości Jerzego Binkowskiego	95



Krok po kroku /
drogi nabierają powietrza /
Przytwierdzona do osia wytrzymała /
i woda w buklicach

Binkowski
To nieba

Jerzy Binkowski. Poeta. Urodził się 25 czerwca 1949 r. w Białymstoku. Debiutował w roku 1980 na "Informatorze Kulturalnym". Dotychczas ukazały się wiersze Jerzego Binkowskiego: *Akord* (1983), *Wygnanie Boga* (1992), *Głosy z pustyni* (1993), *W drodze z Damaszku* (1994). Wiersze poety tłumaczone były na język litewski i ukraiński. Jerzy Binkowski jest również reżyserem teatralnym. Realizuje teksty Joanny Kulmowej. W 1994 r. został laureatem Nagrody Literackiej Prezydenta m. Białegostoku im. Wiesława Kazaneckiego. Jest członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Aktualnie pracuje jako psycholog (absolwent KUL) w Zespole Placówek Kształcenia Artystycznego w Białymstoku.

Głosy z pustyni

"Dziękuję serdecznie za śliczny tomik, który bardzo mi przypadł do gustu, jako że odświeża smak tak niedawno skosztowanej Palestyny. A które wiersze najbardziej mi się podobają? Oczywiście XI i XVIII, bo zaspakajają moje wieczne dążenie do puenty (...) zazdroszczę Panu tych podobno po antyku, wymagają zresztą niemałej erudycji (...). Brawo ten Pan!"

Strumiany 16 luty 1993

Joanna Kulmowa

W drodze z Damaszku

"Jerzy, *W drodze z Damaszku* jest wspaniałym obrazem Bliskiego Wschodu. Styszę zgrzyt upalnych kamieni, czuję zapach sandałów, niezidentyfikowany, tajemniczy zapach pustyni. Pustynia i samotność. Jakże samotny jest Ten Świat! (Ten Świat) Ciepła, zdarzenia, detale, drobności. Absence. Tańca na węglach! Widzę tam ludzi, metafor, silnych, sz wiele dobrych zalet poetyckich (...). Jedną z Twoich jesteś lirykiem, (OK, jesteś!). A ty Też." Tam Twoja moc.

Książnica Podlaska

im. Ł. Górnickiego w Białymstoku



KP-BG-0454631

Berkeley 17 grudzień 1994

Dariusz Milewski

Wygnanie Boga

"Poetycką inspirację czy może raczej klamrą, która spięta pojedyncze wiersze w poematową całość, jest przejmujące sformułowanie wygnanie Boga, które autor odnalazł w mistycznym utworze Karola Wojtyły Pieśń o Bogu ukrytym. Odnalaził i – dodam – głęboko przeżył, o czym świadczą kolejne utwory wypełniające ten zbiór."

Białystok

Valdemar Smaszcz



088536

ISBN 83-86491-60-4